

Kapitulacja garnizonu Włodzimierza Wołyńskiego we wrześniu 1939 oraz moja ucieczka z niewoli sowieckiej

Wspomnienia spisane przez Jana Busiakiewicza, jeńca Oflagu IIC Woldenberg*

Nie pamiętam, który to był dzień września, kiedy wróciłem do Włodzimierza z Horochowa, gdzie byłem przewodniczącym Komisji poborowej koni. Sądzę, że był to 14 lub 15. Na szosie Włodzimierz — Łuck widać było ślady bombardowań niemieckich. Leje i wyrwy w nawierzchni szosy, rozbite wozy, trupy końskie, spalone zagrody, powalone drzewa i płoty, gdzieniegdzie rozrzucone części ekwipunku żołnierskiego.

We Włodzimierzu dworzec kolejowy częściowo zniszczony, kilkanaście, a może znacznie więcej domów zburzonych lub spalonych, na jednej z ulic rozbity polski samolot. Koszary Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii (od września 1938 r. byłem instruktorem i wykładowcą w pierwszej baterii szkolnej) nietknięte. Na wielkim placu ćwiczeń, wzdłuż budynków I i II dywizjonu ustawiona 6-cio działowa bateria (po 3 haubice 100 i 155 mm), skierowana w stronę Uściługu. Armaty 75 mm rozstawione w mieście i na ulicach wylotowych, zamaskowane, ryglujące dojścia od strony zachodniej i północnej.

Był to zupełnie nietypowy system obronny, wyłącznie artyleryjski. We Włodzimierzu nie było w tym czasie żadnej jednostki taktycznej. Pułki 23 piechoty i 27 artylerii lekkiej dawno wymaszerowały. W mieście pozostała SPRArt. W składzie około 60 oficerów, 100 lub nieco więcej podoficerów, trzy baterie ćwiczebne 80-100 kanonierów, oraz bliżej nieznaną mi liczbą oficerów, podoficerów i kanonierów z CWArt. /Centrum Wyszkozenia Artylerii w Toruniu/ ewakuowanych Włodzimierza. Sprzętu artyleryjskiego i amunicji, oczywiście również artyleryjskiej, było dużo, gdyż niezależnie od wyposażenia własnego nadeszły transporty z Torunia. Dowódcami działonów utworzonego systemu artyleryjskiej obrony byli przeważnie oficerowie, a obsługa składała się z podoficerów i kanonierów. Podchorążowie już dwa miesiące wcześniej odeszli do pułków na praktykę. Komendantem SPRArt. był pułkownik Lucjan Jasiński. Mnie powierzono dowództwo wyżej wspomnianej baterii haubic. Na mapie, tak zwanej setce, wyznaczyłem domniemane cele i dla każdego z nich obliczyłem dane początkowe do wstrzeliwania. W ciągu następných dwóch dni czekaliśmy w gotowości bojowej na pojawienie się Niemców, zdecydowani na walkę.

Tymczasem 17 września dowiedzieliśmy się z radia, iż ZSRR jednostronnie wypowiedział pakt o nieagresji podpisany z Polską, że Armia Czerwona przekroczyła naszą wschodnią granicę na całej długości i szybkim marszem kolumn zmotoryzowanych przebiegła na zachód, rzekomo, by chronić ludność ukraińską i białoruską zamieszkującą wschodnie województwa Polski przed armią niemiecką. Tak więc znaleźliśmy się w kleszczach pomiędzy wrogimi nam armiami i państwami.

Nie muszę opisywać, jak podziałała na nas ta wiadomość. Na zachodzie cios za ciosem, a na wschodzie nóż w plecy. Sytuacja stała się tym trudniejsza, że ludność Włodzimierza i okolic, głównie żydowska, z miejsca czynnie zadokumentowała swój wrogi stosunek do Polski, likwidując polską administrację i powołując komitety komunistyczne.

Cała obsada systemu obrony Włodzimierza została ściągnięta do koszar SPArt., natomiast sprzęt artyleryjski pozostawiono na stanowiskach, po uprzednim rozmontowaniu zamków i zabraniu istotnych jego części, by stał się nieprzydatny. Pułkownik Jasiński zarządził odprawę oficerów, na której oświadczył, że nie będziemy wszczynać walki z armią sowiecką i że nazajutrz zwolni całą załogę z przysięgi wojskowej, by każdy mógł sam decydować o dalszym swym losie.



Zapowiedział również, że sam uda się do oddziałów walczących z Niemcami w rejonie Zamościa i kto chce, może do niego dołączyć.

Tej nocy większa część oficerów i ich rodzin opuściła kolonię oficerską i przeniosła się do przyległych koszar SP Art. Następnego dnia — był to chyba 18 lub 19 września — rozpoczął się pamiętnym przemówieniem płk. Jasińskiego, w którym w prostych żołnierskich słowach podziękował nam za służbę i zwolnił od przysięgi. Sam, z małą grupą oficerów, opuścił koszary i udał się prawdopodobnie do Zamościa.

Zostaliśmy sami, wielu z nas z rodzinami, pełni najczarniejszych myśli o dalszy los. Nieposiadający rodzin łatwiej mogli powziąć decyzję. Mieli do wyboru albo dołączyć do walczących jeszcze z Niemcami polskich oddziałów, albo usiłować przedostać się do Rumunii lub na Węgry, a następnie do Francji. Nikt z nas bowiem nie sądził, że definitywnie skończyła się dla nas wojna. Wierzyliśmy, że przegraliśmy kampanię w Polsce, ale nie wojnę. Zaufanie bowiem do naszych sojuszników, Anglii i Francji, było niewzruszone. Wierzyliśmy w ich militarną siłę i wolę walki. Na obarczonych rodzinami /ja do nich należałem, gdyż we Włodzimierzu znajdowała się żona i moi teściowie/ ciążył obowiązek zapewnienia im bezpieczeństwa i możliwości wyjścia z Włodzimierza.

Tego dnia po południu niespodziewanie wjechało do koszar kilkanaście pustych warszawskich miejskich autobusów. Tymi autobusami postanowiliśmy wyprawić następnego dnia nasze rodziny w kierunku Warszawy, a sami ochotniczo udać się w szyku zwartym na zachód i dołączyć do pierwszych napotkanych oddziałów walczących z Niemcami.

Na drugi dzień sprawy przybrały zupełnie odmienny obrót. Rano, niespodziewanie przybył do koszar SP Art. gen. Smorawiński /wraz z nim płk Jasiński oraz kilku innych oficerów/ i zarządził zbiórkę wszystkich na placu koszarowym. Krótkie przemówienie gen. Smorawińskiego słyszałem jak najdokładniej. Oświadczył, że w Niemczech wybuchła rewolucja, Hitler i Goering zostali zamordowani, wojska niemieckie w nieładzie opuszczają nasze terytorium, a wojska sowieckie, na skutek nacisków rządów Anglii i Francji, również są w odwrocie. Generał zarządził ściąganie z terenu do koszar pozostawionego sprzętu artyleryjskiego i amunicji, zaprowadzenie ładu w mieście i okolicy, przywrócenie administracji do pełnienia swych obowiązków oraz gromadzenie w koszarach wszystkich napotkanych żołnierzy. Polecenia te wykonywaliśmy z wielkim zapałem. Ja zorganizowałem dwa zaprzęgi po trzy pary koni i do godziny 16-17 przyprowadziłem do koszar — o ile dobrze pamiętam — 14 dział.

Przed wieczorem zaczęły rozchodzić się pogłoski, że poranne oświadczenie gen. Smorawińskiego całkowicie mijało się z prawdą. Pogłoski te zostały wkrótce potwierdzone przez wysłane w teren w ciągu dnia silne patrole porządkowe, m.in. do wsi Werba. Około godziny 21 pojawiła się z kierunku tej wsi kolumna sowieckich wojsk zmotoryzowanych, która przejeżdżając traktem z kierunku wsi Werba wzdłuż parkanu koszarowego, bez żadnego ostrzeżenia ostrzelała koszary z broni maszynowej. Polska załoga nie oddała ani jednego strzału. Całą noc pozostałem w koszarach przy mojej zaimprovizowanej spiesznej baterii.

Rano dowiedziałem się, że w ciągu nocy podpisane zostało przez obie strony, polską i sowiecką, porozumienie stanowiące, iż;

- załoga polska złoży broń
- szeregowi /podoficerowie i kanonierzy/ mogą wyjść z koszar i udać się w dowolnym kierunku
- rodziny oficerów i podoficerów mogą załadować swój dobytek na wozy taborowe znajdujące się w koszarach i wyjechać nimi w dowolnym kierunku
- oficerowie mogą zatrzymać szable i pistolety oraz zabrać swe służbowe konie i dołączyć do swych rodzin opuszczających koszary wozami.

Początkowo wykonanie porozumienia przebiegało bez zakłóceń. W pewnym momencie pojawił się oficer sowiecki i polecił oficerom polskim zebrać się w trzech grupach:

1. grupa udających się na zachód
2. grupa udających się na północ
3. grupa udających się na południe

W grupach 2 i 3 zebrało się tylko po kilkunastu oficerów, w grupie 1 nie mniej niż 300. O ile wiem, grupy 2 i 3 zostały wypuszczone z koszar bez większych trudności /relacja por. lek.wet. Potkańskiego/, natomiast grupie 1, do której należałem, sowiecki oficer oświadczył, że ze względu na to, iż ludność Włodzimierza jest bardzo nieprzychylnie do nas ustosunkowana, da nam ochronę w postaci samochodów pancernych i wyprowadzi kolumnę unikając przejścia przez miasto w kierunku na Uściług, Chełm, Lublin. Podczas gdy staliśmy jeszcze na placu koszarowym, podjechał sowiecki samochód osobowy typu „łazik”, którym wywieziono w nieznanym kierunku gen. Smorawińskiego i płk. Jasińskiego.

Przy wyjściu naszej kolumny z koszar, wbrew warunkom porozumienia o złożeniu broni, odebrano nam służbowe konie wierzchowe. W kilkanaście minut po wymaszerowaniu z koszar kolumnę zatrzymano, sterroryzowano bronią maszynową samochodów pancernych eskorty i pod groźbą użycia broni zażądano oddania pistoletów /szabli już nie mieliśmy, gdyż były przytroczone do siodła/. Jakikolwiek opór byłby szaleństwem. Z mego pistoletu szybko wyjąłem lufę; tak zdekompletowany wrzuciłem go do podstawionego kosza.

Kolumna — już rozbrojona — znów wbrew umowie — ruszyła dalej. Nie wróżyło to nic dobrego. Gdy znaleźliśmy się w niewielkim zagłębieniu terenu, zza pagórków po prawej i lewej stronie wyszły tyraliery piechoty sowieckiej z bagnetami na broni i otoczyły całą kolumnę. Zrozumieliśmy, iż oszukano nas w perfidny sposób. Bez słowa wyjaśnienia, pod silną eskortą poprowadzono nas w kierunku miasta i po jego przejściu wyprowadzono na szosę w kierunku Łucka.

Od tej chwili zaczęła się gehenna czterodniowego marszu do Łucka. Cztery dni bez jedzenia, raz na dzień woda ze studni, bez możliwości umycia się, noce w szczerym polu na gołej ziemi, odpoczynki tylko w niezamieszkałych miejscach. Niektórzy z konwojujących nas żołnierzy mówili, iż w Łucku będziemy zarejestrowani, a potem zwolnieni. Do Łucka dotarliśmy czwartego dnia po południu głodni, spragnieni, brudni i upodleni. Wprowadzono nas do koszar pułku piechoty /numeru pułku nie pamiętam, częściowo zbombardowanych przez lotnictwo niemieckie. W koszarach było już wielu polskich oficerów przetrzymywanych w charakterze jeńców oraz oficerów i szeregowych policji państwowej. Rozlokowaliśmy się, jak kto chciał, w niezniszczonych budynkach, ogołoconych z wszelkich urządzeń kwaterunkowych. W dalszym ciągu nie było żadnego wyżywienia. Korzystaliśmy z ogródków warzywnych znajdujących się na terenie koszar oraz z nadarzających się niekiedy okazji kupna chleba od ludności cywilnej, podawanego nam przez plot otaczający koszary. Oczywiście mogło to mieć miejsce, jeśli stojący na zewnątrz wartownik sowiecki udawał, że tego nie widzi. Komendantem obozu był cywilny, niedbale noszący się Żyd. Na drugi dzień przeprowadzono spis wszystkich, jak nas określono „wojenno plennych”. Nasze żądania respektowania umowy o złożeniu broni zbywano wykrętnymi odpowiedziami. Między innymi któryś z oficerów sowieckich powiedział mi, że zostaniemy przewiezieni do Szepietówki i tam po dokonaniu właściwej rejestracji zwolnieni. Wraz z moimi około trzydziestu kolegami -oficerami ze SPArt. kwaterowaliśmy razem, w jednym z najmniej zniszczonych budynków. Dziś, po 42 latach, pamiętam zaledwie kilka nazwisk: mjr Para, kpt. Stanisław Świącicki, kpt. Kosobudzki, kpt. Nowak, kpt. Widort, por. Nachlik, kpt. Piotrowski, kpt. Gąsiecki (z 5. DAK), kpt. Anasiewicz, kpt. Miklaszewski, kpt. Gondek .

Wieczorem niespodziewanie zjawił się w naszej kwaterze żyd „komendant” i powiedział, że kto mieszka w Łucku lub ma w Łucku rodzinę, może zgłosić się natychmiast u niego w „komendzie”, gdzie otrzyma przepustkę zwalniającą z obozu. Mimo, że nie odpowiadałem tym warunkom, zdecydowałem się wykorzystać tę okazję i namawiałem również kolegów. Nikt jednak nie podjął mojej inicjatywy. Poszedłem sam. W pokoju „komendy” zebrała się mała

grupka nieznanymi mi oficerów, około dziesięciu. Żyd zażądał przedłożenia legitymacji oficerskich. Okazało się, że moi poprzednicy /byłem czwarty lub piąty/ to wojskowi lekarze. Może właśnie dlatego od razu otrzymali przepustki i opuścili pokój. Moja legitymacja pochodziła z I Dywizjonu Artylerii Konnej im. gen. Józefa Bema w Warszawie. Na ostatniej stronie była adnotacja „przeniesiony do SP Art. we Włodzimierzu. Żyd przeczytał adnotację, oddał mi legitymację i powiedział: „Z wami to za tą hałaburdę we Włodzimierzu mamy jeszcze porachunki”. Oczywiście przepustki nie otrzymałem. Mam wrażenie, iż określenie „hałaburda” odnosiło się do wydarzeń, które miały miejsce przy akcji przywracania we Włodzimierzu ładu i likwidacji komunistycznych komitetów, jakie powstały po przekroczeniu naszej granicy przez wojska sowieckie. Akcja ta spowodowana była wspomnianą już fałszywą informacją o rewolucji w Niemczech i wycofywaniu się wojsk sowieckich z naszych granic. Zrezygnowany powróciłem do kolegów i opowiedziałem o wszystkim, kładąc szczególny nacisk na to, że niewątpliwie czekają nas duże nieprzyjemności, a może i represje.

Na drugi dzień rano zostaliśmy wezwani do natychmiastowego formowania na placu przed budynkiem koszarowym kolumny marszowej, gotowej do wymarszu z koszar. W pewnej chwili, gdy kolumna była już gotowa, Żyd „komendant” przechodząc wzdłuż kolumny zawołał, że kto jest z Łucka lub ma w Łucku rodzinę, niech uda się do „komendy” po dokument zwolnienia z obozu. Wyrwałem ostatnią stronę z mojej legitymacji oficerskiej i udałem się we wskazane miejsce. Znowu nikt z kolegów nie zdecydował się iść ze mną. Przed „komendą” zebrało się kilkunastu oficerów. W krótkim czasie kolumna wymaszerowała z koszar. Nie było wiadomo dokąd, ale przypuszczałem, że na dworzec kolejowy.

Czekaliśmy na naszego Żyda przed budynkiem. Gdy przyszedł, oświadczył, że on nie może dać nam przepustek, ale wyśle nas pod eskortą do komitetu, gdzie sprawa naszego zwolnienia zostanie załatwiona. Eskorta składała się z kilku sowieckich żołnierzy i jednego żydowskiego wyrostka po cywilnemu, ale z karabinem. Było to bardzo upokarzające. Przynajmniej ja tak to odczułem. Az do wieczora prowadzeni byliśmy od jednego urzędu do drugiego, ale nigdzie nie chciano załatwić naszej sprawy. Gdy zaprowadzono nas do więzienia, urzędujący sowiecki naczelnik chciał nas zatrzymać jako więźniów. Temu sprzeciwili się sowieccy żołnierze, pomimo nalegań żydowskiego wyrostka. Pod wieczór przyprowadzono nas do koszar, gdzie zakwaterowaliśmy się razem stosunkowo wygodnie. Byłem zaskoczony, gdy w niedługim czasie przyszli dwaj sowieccy żołnierze niosąc dwa duże wiadra gorącej, gęstej zupy z mięsem, chleb oraz menażki i łyżki. Był to pierwszy prawdziwy posiłek od wyjścia z Włodzimierza. Zapytani, kto przysłał tę kolację, odpowiedzieli, że sami wzięli z kuchni, gdyż rozumieli, że skoro oni są głodni i zmęczeni, to i my musimy być również głodni. Ten zwykły, ludzki gest także mi przytoczyć jeszcze dwa przypadki zachowania się prostego pojedynczego żołnierza sowieckiego. Po zjedzeniu zupy zwróciłem się do jednego z żołnierzy, czy nie zechciałby zanieść moje buty do jakiegoś szewca w mieście, by je natychmiast podzelał, bo przeciekają. Żołnierz zgodził się, zabrał buty /normalne, oficerskie buty z cholewami/ i rano przyniósł mi je podzelowane. Drugie zdarzenie świadczyło o naiwności i ciemności. Otóż zaraz pierwszego dnia pobytu w koszarach w Łucku, jeden z sowieckich żołnierzy widząc, że spoglądam na zegarek spytał, czy bym mu go nie sprzedał. Nie chcąc tracić zegarka wymieniłem cenę, która — jak mi się wydawało — znacznie przekraczała zasoby żołnierza. Nie pomyliłem się. Ale na drugi dzień, ku memu wielkiemu zdziwieniu, żołnierz odszukał mnie i powiedział, że ma już pieniądze, gdyż pożyczył od kilku kolegów. Byłem w kropce. Na szczęście wpadła mi do głowy dobra myśl. Powiedziałem, że mimo to nie mogę mu zegarka sprzedać, gdyż jest dla niego zupełnie nieprzydatny. Zdziwiony zapytał, dlaczego. Wówczas ja zapytałem go, czy wie, która jest w tej chwili godzina. Odpowiedział, że około dziesiątej. Na to

pokazałem mu mój zegarek, na którym była godzina ósma /różnica dwóch godzin pomiędzy czasem wschodnim, a środkowoeuropejskim/. Mój rozmówca przyjrzał się zegarkowi, a potem wylewnie podziękował mi, że nie oszukałem go, chociaż mogłem.

Ale wróćmy do tematu. Rano kazano nam natychmiast opuszczać budynki i ustawiać się w kolumnie marszowej, frontem do bramy wyjściowej. Znalazłem się w gronie zupełnie obcych mi ludzi, przeważnie oficerów i szeregowych policji państwowej oraz policji zmobilizowanej na okres wojny, umundurowanej po wojskowemu z policyjną granatową czapką. W tym momencie żałowałem, że odłączyłem się od kolegów ze SPART. Kolumna sformowała się, otworzono bramę, pomaszzerowaliśmy na dworzec kolejowy i tam załadowano nas po 40 osób do wagonów towarowych, które oczywiście zaryglowano. Jazda wraz z długimi postojami trwała do rana następnego dnia. Od polskiego kolejarza dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się w Zdołbunowie. Po obu stronach naszego pociągu stały puste składy wagonów towarowych oraz oczywiście dość gęsto rozmieszczona uzbrojona straż. Nigdy dotąd nie byłem w Zdołbunowie, nie wiedziałem więc, jak daleko jest do stacji kolejowej i do miasta. Minęły dwa następne dni i trzy noce, a nasz pociąg stał jak zakotwiczony. Bez jedzenia i bez wody. Wypuszczano jedynie po czterech rano wieczorem celem „oprawitsia”. W wagonie spotkałem swego dawnego kolegę, porucznika saperów, którego nazwiska niestety nie pamiętam. Rozmyślałem nad możliwością ucieczki. Zdołbunów — była to ostatnia stacja po stronie polskiej. Zdawałem sobie sprawę, że ucieczka ze strony sowieckiej będzie znacznie trudniejsza, lub może nawet niemożliwa, gdyż niezależnie od tego, że miałem na sobie mundur polskiego oficera, porucznika artylerii konnej (dystynkcji nie zdjąłem), nie znałem przecież języka rosyjskiego. Przed czwartą nocą, którą mieliśmy spędzić w wagonie, po wyjściu na wieczorne „oprawitsia” wszedłem pod wagon, rozejrzałem się ukradkiem na obie strony przeciwległego peronu i gdy wartownicy z obu kierunków byli odwróceny do mnie plecami, szybko wyskoczyłem na peron, odryglowałem drzwi i wróciłem pod wagon. Po wejściu do wagonu zwierzyłem się tylko memu koledze saperowi.

O północy obudziłem kilku najbliższych sąsiadów, powiedziałem, że drzwi wagonu są odryglowane, wystarczy je odsunąć i można pryskać korzystając z ciemności. A potem — co Bóg da. I tu przykre zaskoczenie. Zamiast ucieszyć się z możliwości ucieczki, moi towarzysze nie tylko nie wyrazili najmniejszej chęci skorzystania z okazji, ale w obawie przed represjami zażądali kategorycznie, by nikt nie próbował uciekać. W ten sposób uniemożliwiono mi nawet ucieczkę samotną. Twierdzono, że brak jednej osoby w wagonie może pociągnąć za sobą przykre dla pozostałych skutki. To mnie zupełnie dobiło. Nie wiem dlaczego, ale miałem wewnętrzne przekonanie, że jeśli zostanę wywieziony z Polski, to już więcej nie wrócę. Zrezygnowany ułożyłem się do snu. Rano byłem spokojny, wiedziałem, że o ucieczce nie ma co myśleć i postanowiłem pogodzić się z losem. Dla dodania sobie otuchy odmówiłem po cichu moją ulubioną modlitwę — „Pod Twoją obronę uciekamy się święta, Boża Rodzicielko”. Niedługo potem ktoś otworzył drzwi wagonu i powiedział, że jakaś kobieta sprzedaje mleko i kto chce, może wyjść i kupić. Nikt się nie kwapił, więc wyskoczyłem z wagonu sam i rozejrzałem się w obie strony. Żadnej kobiety z mlekiem nie zauważyłem, natomiast spostrzegłem, że wartownicy z obu stron są odwróceny do mnie plecami. Bez chwili wahania wszedłem pod wagon sąsiedniego pociągu towarowego i przeszedłem na jego drugą stronę. Tu nie było już żadnego wartownika. W ten sam sposób przeszedłem jeszcze pod dwoma lub _trzema pociągami i ku memu zdziwieniu znalazłem się na ulicy. Około 150 m w prawo był budynek dworca kolejowego. Przy nim stała już grupa żołnierzy sowieckich. Po drugiej stronie ulicy kilka kobiet otaczało jedną, która coś sprzedawała. Pewnym krokiem podszedłem i wtedy jedna z nich widząc mnie, oficera, spytała czy nie znam jej męża, oficera rezerwy. Oczywiście wymieniła nazwisko. Odpowiedziałem, że nie znam i zapytałem, czy mieszka blisko i czy mogę pójść do niej, bo przecież w mundurze nie mogę znajdować się na ulicy w biały dzień./była godzina około 10 przed południem/. Zgodziła się. Mieszkała bardzo blisko, może w odległości

100 — 150 m od miejsca, w którym staliśmy. W drodze nie spotkaliśmy żadnego sowieckiego żołnierza. Wchodząc w podwórze powiedziała, by iść bardzo szybko, gdyż w oficynie mieszka jakiś zajadły komunista.

Gdy zamknęły się za mną drzwi mieszkania mej przewodniczki, odetchnąłem z ulgą. Poczęstowała mnie chlebem i mlekiem. Zaczęła się jednak niepokoić, co będzie, jeśli ktoś mnie widział, jak wchodziłem do domu i doniesie bolszewikom. Widząc jej obawy powiedziałem, by pozwoliła mi tylko umyć się i chwilę odpocząć, a potem pójdę na los szczęścia. Wówczas ona zaproponowała, bym poczekał, a sama pójdzie na dworzec kolejowy do ojca, który prowadzi tam bufet i zapyta go, co dalej robić. Wyszła, zamknęła za sobą drzwi na klucz, a ja zacząłem doprowadzać się do jakiegoś takiego ładu. Niedługo wróciła z wiadomością, że ojciec kazał czekać i że sam wkrótce przyjdzie. W jakiś czas potem przyszedł jej brat, a następnie ojciec. Mój oficerski płaszcz, mundur i czapka zostały schowane, a mnie dano cywilną, mocno podniszczoną marynarkę, kolejarzką czapkę bez srebrnych galonów i sfatygowaną jesionkę. Ojciec powiedział, że transport, z którego się oddaliłem, odjechał w stronę Szepietówki, to jest na stronę sowiecką. Ustaliliśmy, że przenocuję u nich, a następnego dnia ojciec powiadomi mnie, kiedy będzie szedł jakiś pociąg na zachód, abym mógł tym pociągiem pojechać. Brat mej gospodyni przypomniał sobie, że jego kolega, komunista, pracuje w utworzonym przez władze sowieckie urządzenie wydającym rozmaite zaświadczenia uchodźcom polskim i podjął się wystarania dla mnie jakiegoś dokumentu, który zastąpi mi dowód osobisty i umożliwi udanie się do mego stałego miejsca zamieszkania. Po obiedzie udaliśmy się do tego urzędu — ja po cywilnemu, jako kolejarz niskiego stopnia — gdzie otrzymałem na urzędowym blankiecie, na zmyślone nazwisko /dziś nie pamiętam, jakie/ przepustkę, stwierdzającą, iż bieżeniec /uciekinię/ ma prawo udania się do miejsca życielstwa (zamieszkania). Nie zwróciłem uwagi na to, iż na tej przepustce był tylko podpis, natomiast nie było pieczętki. Niewiele brakowało, by to niedopatrzenie obróciło w niwecz cały dotychczasowy sukces mej ucieczki. Ale o tym później. Przepustka ta kosztowała mnie wygraną na konkursie hipicznym w I pułku Szwoleżerów w Warszawie — srebrną papierośnicę ze złotą inkrustacją i napisem: „Pierwsza nagroda. Konkurs hipiczny ciężki. Dnia ... I P. Szwol. Im. Józefa Piłsudskiego”. Nagrodę tę wygrałem na koniu Niemek, bardzo skocznym, choć starym (14 lat).

Na drugi dzień przed południem zawiadomiono mnie, że niedługo odjedzie pociąg w kierunku Równego. Pożegnałem się z gospodarzami i odjechałem tym pociągiem. Miałem 50 złotych i zegarek „Longines”. Nie będę opisywał tej niełatwej podróży, Wspomnę tylko, że chyba po dwóch dobach, jadąc przez Równe, Dubno i Sarny, jedząc byle co i śpiąc w wagonie, w stałej czujności, by nie rozpoznano we mnie polskiego oficera, dotarłem do Kowla. Postanowiłem udać się do Włodzimierza — mimo, że było to ryzykowne — by stwierdzić, czy Irena, jej matka i płk Kaczkowski /mąż mej teściowej/ wyjechali, czy też zostali przez Rosjan zatrzymani. Jako „kolejarz” udałem się do zawiadowcy stacji, powiedziałem, że mieszkam we Włodzimierzu i zapytałem o najbliższy pociąg osobowy lub towarowy. Odpowiedział, że za chwilę odjedzie do Włodzimierza wojskowy transport cystern, oraz, bym zwrócił się do kierownika pociągu, który chętnie weźmie mnie do drużyny kolejowej jako hamulcowego. Kierownik pociągu o nic nie pytał, tylko powiedział: „Siadaj pan na brek”. Nie bardzo wiedziałem co to jest „brek”, ale dołączyłem do jakiegoś prawdziwego kolejarza, który właśnie siadał do budki hamulcowego na jednej z cystern i wkrótce odjechaliśmy. Od mego towarzysza dowiedziałem się, że na stacji we Włodzimierzu patroli sowieckie legitymują podróżnych, więc gdy nad ranem dojeżdżaliśmy do miejsca przeznaczenia wyskoczyłem z pociągu przed stacją.

Była godzina około piątej rano. Ulice puste i ciche. Skierowałem się w stronę domu, w którym mieszkali kuzyni płk. Kaczkowskiego /niedaleko koszar 27. pułku artylerii lekkiej/ przypuszczając, że tam dowiem się czegoś o moich bliskich. Dom położony w ogrodzie przypominał dworek ziemiański. Wszedłem do holu. Nie było nikogo. Lekko uchylilem drzwi: po lewej stronie i w głębi pokoju zobaczyłem kilku sowieckich żołnierzy — pewnie oficerów

— przy stole, tak jakby kończyli całonocną libację. Szybko wycofałem się z domu i spokojnym krokiem przeszedłem przez ogród, kierując się ku wyjściu. Dopiero na ulicy odetchnąłem z ulgą i przyspieszyłem kroku. Postanowiłem pójść do znajomego lekarza, który, jak mi było wiadomo, był dobrym znajomym płk. Kaczkowskiego i mógł mieć jakieś wiadomości. Przyjął mnie gościnnie i zatrzymał u siebie. W jego mieszkaniu jeden duży pokój przeznaczono dla takich jak ja przechodniów. O ile pamiętam — było tam czterech lub pięciu oficerów — wszyscy oczywiście po cywilnemu. Nie była to „przechowalnia” pewna ani dla przechowywanych, ani dla gospodarza, bo lekarz był znany w mieście i w każdej chwili mogła być u niego rewizja. Powiedział, że mogę zatrzymać się u niego dzień lub najwyżej dwa oraz że postara się wieczorem skontaktować mnie z którąś z żon oficerów, mych kolegów ze SPART. W ciągu dnia miałem nie opuszczać mieszkania.

Wieczorem przyszła żona kapitana Kosobudzkiego. Opowiedziałem jej o moich perypetiach i wymieniałem nazwiska tych, których wywieźli do Szepietówki /m.in. jej męża/, ona zaś poinformowała mnie, iż moi wyjechali z Włodzimierza w kierunku Uściługu wozem taborowym zaprzężonym w parę koni. Jasne było dla mnie, że to był wóz, który im podstawiłem w dniu złożenia broni i mego wymarszu z koszar pod „troskliwą opieką” sowieckich samochodów pancernych. W tej sytuacji nie miałem czego szukać we Włodzimierzu i mogłem już następnego dnia udać się w dalszą drogę. Poinformowano mnie również, iż linia rozgraniczająca wojska niemieckie od sowieckich ma biec wzdłuż Bugu i że na razie nie ma trudności przy przekraczaniu tej linii. Okazało się jednak, iż wojska sowieckie poszły dalej, a ja rozstałem się z nimi dopiero w Krasnymstawie nad Wieprzem. Wyszedłem o świcie, by spotkać możliwie jak najmniej ludzi, którzy mogliby mnie poznać i zdekonspirować. Przejście przez Bug nie było strzeżone, gdyż po drugiej stronie były również wojska sowieckie. Przed wieczorem dotarłem do Hrubieszowa, gdzie przenocowałem u jakiegoś lekarza. Na drugi dzień rano opuściłem Hrubieszów i skierowałem się w stronę Chełma. Nie miałem żadnej mapy i dlatego zmuszony byłem iść szosą, co było o tyle niedogodne, że bardzo często mijały mnie wojskowe samochody sowieckie, wycofujące się na prawą stronę Bugu. Zauważyłem, że jeden z samochodów holował polską 75 milimetrową armatę polową, która z wielkim chrzęstem żałośnie podskakiwała na szutrowanej szosie. Dla mnie — artylerzysty — był to smutny widok. W pewnej chwili jeden samochód zatrzymał się przy mnie, wyskoczył z szoferki sowiecki oficer i zażądał ode mnie dowodu osobistego. Odpowiedziałem, że mój dowód spalił się razem z moim mieszkaniem i pokazałem mu sowiecką przepustkę ze Zdołbunowa. Sprawdził, czy nie mam przy sobie broni, zwrócił mi przepustkę i odjechał. Postanowiłem zejść z szosy, by nie być narażonym na podobne spotkania, które mogły skończyć się dla mnie mniej szczęśliwie. Skręciłem w pierwszą polną drogę, w lewo od linii Hrubieszów — Chełm, jako, że w lewo znaczyło na zachód. Dopiero po przejściu kilkunastu kilometrów zorientowałem się, że idę w ogólnym kierunku na Krasnystaw. Tuż przed wsią Kraśniczyn /około 20 km od Krasnegostawu/ zatrzymał mnie dwuosobowy posterunek wojskowy sowiecki i zażądał wylegitymowania się. Pokazałem zdołbunowską przepustkę i byłem pewny, że nie będę miał żadnych kłopotów. Tymczasem żołnierz, który ją przeczytał, zwrócił się do mnie mówiąc, że nie jest ona ważna, gdyż nie ma na niej żadnej „pieczątki”. Zrobiło mi się gorąco na myśl, że po tylu trudach, prawie na mecie, zostanę zatrzymany i kto wie, czy nie cofnięty na wschód, za Bug. Na moje szczęście drugi z nich zaczął przekonywać pierwszego, że przepustka nie może być nieważna, gdyż jest drukowana rosyjskim alfabetem na urzędowym blankiecie, a pieczątki wystawiający ją urząd mógł jeszcze nie mieć, bo to przecież wojna. Widocznie nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić w przypadku zatrzymania, bo po krótkiej naradzie oddali mi przepustkę ze słowami „uchadi”. Do wsi było kilkaset metrów. Wszedłem do pierwszego, lepiej wyglądającego domostwa i poprosiłem o nocleg. Kilkudziesięciokilometrowy marsz bardzo mnie wyczerpał, gdyż do tej pory zawsze miałem do dyspozycji konia.

Gospodarze przyjęli mnie bardzo gościnnie, poczęstowali kolacją i dali oddzielny pokój z wygodnym łóżkiem. Gruntownie się umyłem i tak odświeżony poszedłem spać.

Rano, przygodnym wozem, dotarłem do Krasnegostawu akurat w momencie, kiedy Rosjanie opuszczali miasto. Nie chcąc wchodzić im w oczy, wstąpiłem do fryzjera. Kiedy ostatnie sowieckie oddziały wymaszerowały, wyszedłem na ulicę i postanowiłem odszukać mego wuja Józefa Szymańskiego, męża ciotki Anny Szymańskiej, rodzonej, młodszej siostry mojej matki,

który dawno ciotkę porzucił i jak mi było wiadomo osiedlił się w Krasnymstawie. Dość szybko udało mi się go odnaleźć.

Wuj Szymański był bardzo dziwnym i nieciekawym człowiekiem. Pobożny do bigoterii. Co dzień słuchał mszy świętej, przyjmował komunię świętą, a potem wracał do domu, często już po paru kieliszkach i wszczywał awantury o nic. W Krasnymstawie zajmował się jakimś drobnym handlem, mieszkał więcej niż skromnie i nie mógł mnie nawet przenocować. Krasnystaw był wtedy ziemią niczyją. Rosjanie odeszli. Niemcy jeszcze nie przyszli, a żadnych władz polskich już nie było.

Wuj Szymański skierował mnie do znajomego księdza, który wprawdzie zgodził się mnie przenocować kilka dni, ale odmówił mi wydania fikcyjnej metryki urodzenia na zmyślane nazwisko, o co go prosiłem, mając zamiar po przybyciu do Warszawy wyrobić sobie na tej podstawie dowód osobisty. Bał się. Byłem na niego wściekły, gdyż w razie nadejścia Niemców nie mogłem przecież legitymować się sowiecką przepustką. Moje tłumaczenie, że natychmiast po wkroczeniu wojsk niemieckich opuszczę Krasnystaw i nigdy więcej tu nie wrócę, nie odniosło żadnego skutku. Na Niemców postanowiłem czekać w Krasnymstawie, gdyż uważałem, że spotkanie się z nimi w drodze, jak będę szedł do Lublina i dalej do Warszawy, może być ryzykowne lub wręcz niebezpieczne. W Krasnymstawie, na razie niczym skrawku Polski, oczekiwałem kilka dni wypatrując u wylotu szosy w kierunku Lublina kolumny niemieckich wojsk.

Było to chyba na trzeci dzień rano, gdy zobaczyłem samotnie idącego w kierunku Lublina młodego mężczyznę, wyglądającego na ubranego po cywilnemu oficera. Podeszedłem do niego, dowiedziałem się, że zamierza dostać się do Warszawy (o kapitulacji już wiedziałem) i zapytałem, czy nie ma nic przeciwko temu, bym mu towarzyszył, gdyż i ja mam ten sam zamiar. Zgodził się chętnie. Był oficerem rezerwy. Po przejściu kilku kilometrów usłyszeliśmy warkot motorów. Nadjechała na motocyklach szpica niemieckiej kolumny, a potem cała jakaś jednostka zmotoryzowanej piechoty wraz z artylerią. Na szczęście nie zainteresowano się nami.

Tego dnia dotarliśmy do miejscowości Piaski, odległej o 24 kilometry od Lublina i tam przenocowaliśmy. Rano przy śniadaniu skaleczyłem się u nasady palca lewej ręki. Piszę o tym ze względu na kłopoty, jakie wyniknęły dla mnie z powodu tego drobnego wydarzenia. Po zabandażowaniu kawałkiem chusteczki do nosa — z braku możliwości bez dezynfekcji — ruszyliśmy w kierunku Lublina. O ile dobrze pamiętam, w Lublinie zatrzymaliśmy się dwa dni. Dowiedziałem się, że w magistracie urzędującym na razie w pełnej polskiej obsadzie wydają zastępcze dowody osobiste, rodzaj karty tożsamości, na nazwisko, jakie poda zainteresowana osoba, nie żądając żadnych dokumentów ani nie zadając żadnych pytań. Otrzymałem taką kartę, nie pamiętam już na jakie nazwisko. Przepustkę zdołbunowską zniszczyłem

Z Lublina do Dębina przyjechaliśmy pociągiem i dalej poszliśmy pieszo w kierunku na Garwolin. Nocowaliśmy w jakiejś miejscowości — nazwy nie pamiętam — odległej o około 40 kilometrów od Otwocka. Rano przy goleniu zauważyłem, że od mego skaleczonego kciuka rysuje się w kierunku łokcia i dalej pachy — czerwona pręga, szeroka na 2 do 3 centymetrów. Zakażenie. Sprawa wyglądała niewesoło, bo nigdzie w pobliżu nie było lekarza.

Mój towarzysz, zasobny w gotówkę, wynajął dorożkę, byśmy mogli jak najszybciej dostać się do Otwocka, gdzie, jak sądziliśmy, mógłbym otrzymać niezbędny zastrzyk. Szczęśliwie — już w Garwolinie znaleźliśmy czynny punkt opatrunkowy. Czerwona pręga doszła do pachy. Po opatrunku dostałem zastrzyk, po którym — według słów lekarza — najpóźniej w ciągu dwóch godzin dostanę silnej gorączki, powyżej 39 stopni C. Do Otwocka dotarliśmy już po zapadnięciu zmroku. Miałem wysoką temperaturę, silne dreszcze i byłem krańcowo wyczerpany. Mój towarzysz kupił w aptece aspirynę i chyba piramidon i zaczął szukać dla mnie noclegu. W rezultacie zaprowadził mnie do mieszkania jakiejś samotnej Żydówki, polecił jej opiece, a sam udał się do Warszawy. Żydówka zajęła się mną bardzo serdecznie. Przygotowała czystą pościel na wygodnym tapczanie i podała gorącą herbatę. Położyłem się, wziąłem proszki i wstrząsany dreszczami zasnąłem. Rano obudziłem się bez gorączki, ale mocno osłabiony. Pręga była już mało widoczna. Potrzebna była zmiana opatrunku. Pożegnałem moją gościnną Żydówkę i poszedłem szukać jakiegoś ambulatorium. Trafiałem do sióstr zakonnych, lecz gdy powiedziałem, że jestem oficerem i proszę o zmianę opatrunku —

kategorycznie odmówiły twierdząc, że wojskowym pomocy nie udzielają. Pożegnałem je wiązanką odpowiednio dobranych słów. Szukałem dalej i trafiłem do felczera, Żyda. Ten bardzo starannie oczyścił ranę, założył opatrunek, unieruchomił rękę na temblaku i powiedział, że następny opatrunek za dwa dni. Nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia. Tego samego dnia dotarłem do Warszawy, a przed zmrokiem byłem już wśród swoich na Żoliborzu. Wszyscy byli w komplecie, zdrowi. Mama Kaczkowska, Pułkownik. Irka, Jadzia (żona Jurka — brata żony) i malutki ich syn Przemek. Nie pamiętam niestety daty przybycia do Warszawy, ale było to chyba około 10 października.

Chcę zwrócić uwagę na cztery charakterystyczne elementy opisanych wydarzeń, zasługujące w moim mniemaniu na podkreślenie.

- Oszukańcze niedotrzymanie przez sowieckie dowództwo warunków kapitulacji polskiego garnizonu we Włodzimierzu, zgrupowanego w koszarach Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii.
- Wrogą postawę, jaką zajęli miejscowi Żydzi wobec ludności polskiej po wkroczeniu wojsk sowieckich oraz bezinteresowność, a nawet wielką życzliwość Żydów, z którymi zetknąłem się w Otwocku,
- Nieuczynność księdza w Krasnymstawie i sióstr zakonnych w Otwocku.

Przebieg mojej ucieczki z transportu w Zdołbunowie ktoś bardziej uczulony religijnie i egzaltowany mógłby nazwać cudownym, bo przecież ucieczka nastąpiła prawie natychmiast po mojej rezygnacji z dalszych prób i skupionym odmówieniu przeze mnie modlitwy „Pod Twoją obronę”. Jak gdyby nie z mojej inicjatywy.

Niech to będą ostatnie słowa moich wspomnień.



*/Jan Busiakiewicz/
Napisane w Warszawie dnia 28.VII. 1981 r
i przeznaczone dla mojej córki Małgorzaty.*

PS. Wszyscy moi koledzy ze SPArt., z którymi byłem w Łucku, zginęli w Katyniu. Nazwiska przeczytałem w tzw. „gadzinówce”, wydawanej w Warszawie w czasie okupacji oraz w wydanej w Londynie księdze podającej nazwiska Polaków, którzy zginęli w sowieckich obozach i więzieniach w okresie II wojny światowej.

W Katyniu zamordowany został również mój brat Apoloniusz Busiakiewicz, kapitan piechoty
JB

**) Przypis redakcyjny.*

Wspomnienie por. Jana Busiakiewicza kończy się datą 10 października 1939 r. i powrotem do domu rodzinnego w Warszawie przy ul. Dziennikarskiej 16. Wg przekazów rodzinnych cieszył się wolnością nieco ponad dwa tygodnie, wg dokumentów CMJW 7 listopada 1939 r. został wzięty do niewoli i osadzony w dniu 24 kwietnia 1940 w Oflagu IX C/Rotenburg, gdzie otrzymał nr jeniecki 22/IXC i skąd, prawdopodobnie w czerwcu 1940 r. został przeniesiony do Oflagu IIC Woldenberg. Jednak co najważniejsze - dzięki ucieczce z niewoli sowieckiej cieszył się życiem jeszcze wiele lat po wojnie.

AGAP